

Wojciech Zmyślony
**W turmie i stalagu:
kapitan Lew Kuryłowicz
w niewoli u dwóch wrogów**

Za linią wroga

Wydawnictwo Gretza

Warszawa 2015

www.polishairforce.pl
Polskie Siły Powietrzne w II wojnie światowej

Artykuł pobrano ze strony www.polishairforce.pl



ZA LINIĄ WROGA

Materiały zebrane i przygotowane z okazji
konferencji popularnonaukowej poświęconej przeszłości lotnictwa
z cyklu „HISTORIA SKRZYDŁAMI MALOWANA”
pod patronatem Prezydenta Koszalina

Koszalin, 16 maja 2015 r.



gretza.pl

Kpt. pil. Lew Kuryłowicz na zawsze zapisał się w historii polskiego lotnictwa jako lotnik, który po zestrzeleniu spędził na morzu trzy i pół doby (dokładnie zaś 85 godzin i 5 minut), na małym gumowym pontonie, rozpaczliwie walcząc o ocalenie z falami, zimnem i brakiem sił. Ostatecznie został uratowany, i jakkolwiek nie jest jasne, czy powinien być uznawany za rekordzistę jeśli chodzi o długość dryfowania¹, jego spisana wkrótce potem relacja stała się bodaj najdoskonalszym warsztatowo opisem dramatu polskich załóg lotniczych w morzu.

Postać Kuryłowicza jest ciekawa także dlatego, że jako jeden z nielicznych polskich lotników doświadczył zarówno niewoli sowieckiej, jak i niemieckiej². Jak dotąd te dwa wątki jego ciekawej biografii nie były obszerniej poruszane.

Wojciech Zmyślony

W tiurmie i stalagu: kapitan Lew Kuryłowicz w niewoli u dwóch wrogów

-
- 1 Rekordzistami są prawdopodobnie kpr. pil. Maksymilian Rech i plut. bomb. Czesław Poddany z 300 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Mazowieckiej”, którzy uratowali się na pontonie ratunkowym po zestrzeleniu ich samolotu do Morza Północnego nocą z 15 na 16 sierpnia 1943 r. Wedle oświadczenia złożonego po powrocie z niewoli przez Recha (IPiMS, sygn. LOT A.V.1/4/VII), pływali oni w pontonie ratunkowym osiem i pół dnia. Informacja ta jest trudna do zweryfikowania, bowiem wyłowieni zostali przez Niemców i wzięci do niewoli. Wspomnieć należy, że pontony dla załóg bombowych były znacznie większe (przez co stabilniejsze) i lepiej wyposażone.
 - 2 Przy czym niewola polegała na uwięzieniu w ramach represji za bycie oficerem Wojska Polskiego i trwała od 1939 r.; kilku innych lotników przebywających w niewoli niemieckiej przebywało przed 1941 r. w ZSRR, jednak ich uwięzienie nie było związane z służbą wojskową, lecz z innego rodzaju represjami, których doświadczyli w większości jeszcze jako cywile (np. wywózka w ramach masowej akcji lub skazanie na łagier za rzeczywiste lub rzekome przestępstwo).

Lew Kuryłowicz urodził się 30 listopada 1910 r. w miasteczku Pokroje koło Kowna, w ówczesnej carskiej Rosji (w dwudziestoleciu międzywojennym miasto należało do Litwy). Dzieciństwo spędził w Rosji, przeprowadzając się do Polski już po odzyskaniu przez nią niepodległości. W 1933 r. został absolwentem Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie z promocją oficerską na stopień podporucznika. W latach 1933–1935 służył w 1 Pułku Lotniczym w Warszawie jako obserwator, a w latach 1935–1938, po przeszkoleniu, jako pilot myśliwski. W 1938 r. został skierowany w charakterze instruktora do Szkoły Pilotażu w Grudziądzu, przeniesionej w 1939 r. do Ułęża koło Dębłina.

Po wybuchu wojny Kuryłowicz wszedł w skład zorganizowanej doraźnie jednostki myśliwskiej, mającej za zadanie bronić przestrzeni powietrznej dęblińskiego węzła lotnisk (Dęblin, Borowina, Podlodów, Uleź, Zajezerze) na polecenie komendanta Szkoły Pilotażu kpt. Stanisława Brzeziny. Jednostka dysponowała używanymi do szkolenia myśliwcami PZL P.7, a jej kadre stanowili w większości instruktorzy SP i kilku instruktorów z SPL. Niestety, dostępne dokumenty nie pozwalają na stwierdzenie, czy (a jeśli tak, w jakim zakresie) Kuryłowicz brał udział w lotach bojowych. 7 września rozpoczęła się ewakuacja szkoły na wschód i patrole obronne zawieszono. Kuryłowicz 17 września 1939 r. w zorganizowanym transporcie SP w Kutach przekroczył granicę polsko-rumuńską.

Szczegółów dotyczących jego późniejszych losów dowiedzieć się można z pisemnego zeznania, jakie złożył 4 lutego 1942 r., w bazie RAF Kirkham w Wielkiej Brytanii³. Po przejściu granicy pomyślnie przedostał się do Bukaresztu, gdzie w konsulacie uzyskał paszport i wizę wyjazdową z Rumunii. Następnie w ambasadzie polskiej uzyskał paszport z wizą do Syrii, jednak bez wizy wyjazdowej z Rumunii, których wydawanie zostało wstrzymane do 15 października 1939 r. Kuryłowicz zdecydował się w tym momencie na bardzo ryzykowny krok. Postanowił wrócić do Polski, by zabrać ze sobą żonę Lidzię do Rumunii. Byli dwa miesiące po ślubie, który odbył się 29 czerwca 1939 r. Przed wybuchem wojny mieszkali we wsi Grabowce koło Ułęża, ale w czasie kampanii wrześniowej Kuryłowicz wysłał żonę do Lwowa. Małżonkowie ustalili, że po ustabilizowaniu się frontu spotkają się tam. Lidia Kuryłowicz nigdy tam nie dotarła, jednak w październiku 1939 r., w Rumunii, jej mąż o tym nie wiedział. Zdawał sobie sprawę, że aby dotrzeć do Lwowa, będzie musiał przekraść się przez

3 Zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, sygn. LOT A.V.96/28/13.



Lew Kuryłowicz jako podporucznik pilot 114 Eskadry Myśliwskiej w latach 1937-1938. Piersz lotnika zdobią odznaki 114 eskadry (na dole) oraz Szkoły Podchorążych Lotnictwa. [arch. Z. Charytoniuka]

sowieckie posterunki graniczne i mając świadomość, że na swojej drodze spotka nie tylko życzliwych ludzi, ukrył w odzieży posiadane dokumenty.

Wyprawa skończyła się fatalnie. Oficer opisał to lakonicznie:

Mając tydzień martwego czasu oczekiwania wybrałem się po żonę do Lwowa. 11/X-39 r. w m. Załucze zostałem zatrzymany przez 7 Ukraińców i doprowadzony do placówki pogranicznej sowieckiej, gdzie po rewizji znaleziono zaszyte w kołnierzu paszporty i legitymację oficerską i aresztowano mnie.

Załucze to niewielka wieś w powiecie śniatyńskim w województwie stanisławowskim, położona tuż przy granicy z Rumunią, a w linii prostej ok. 200 km od Lwowa. Kuryłowicz zakończył więc swą wyprawę na samym jej początku.

Jako polski oficer nie został zabrany do obozu jenieckiego (co uratowało go przed niechybną śmiercią w ramach zbrodni katyńskiej), lecz trafił do więzienia – podobnie jak wielu innych polskich oficerów, jak np. gen. Władysław Anders. W zeznaniu z 1942 r. podał miejsca i dokładne daty uwięzienia⁴. Początkowo trzymany był na terenie przedwojennej Polski, w aresztach, których NKWD zaczęło używać do własnych celów: od 12 października 1939 r. w areszcie w Kołomyi, a od 2 listopada 1939 r. w Stanisławowie. 13 grudnia 1939 r. został wywieziony w głąb ZSRR. Od 23 grudnia 1939 r. przebywał w Chersoniu, od 1 kwietnia 1940 r. w Mikołajowie (Nikołajewie), od 8 września 1940 r. w Kijowie, a od 21 czerwca 1941 r. w Charkowie. Cztery ostatnie więzienia znajdowały się na przedwojennym terytorium ZSRR, w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej.

Kuryłowicz pisał:

Powody przenoszenia z więzienia do więzienia nie są mi znane. (...) Przesłuchiwano w każdym więzieniu, stawiano pytania o przebiegu służby wojskowej, pytano o nazwiska oficerów II oddziału i w ogóle adresy i nazwiska oficerów na okupowanych przez Rosję terenach.

Nazwisk i adresów żadnych nie wymieniłem. Przebieg służby wojskowej podałem b. ogólnikowo.

Propozycji żadnych nie stawiano.

3 lutego 1942 r. spisał także inną relację, będącą odpowiedzią na ankiety polskich władz wojskowych. Odpowiadając na pytania odnosił się do wie-

4 Fakt aresztowania potwierdzają dokumenty ze zbiorów Ośrodka „Karta” – Lew Kuryłowicz, syn Włodzimierza, w 1939 r. przebywał w areszcie na terenie „okręgu stanisławowskiego” w „Ukraińskiej SRR” (sygn. ZUB- /426/302/3).



Klucz startujących myśliwców PZL P.7 ze Szkoły Pilotażu w Ułężu. Na takich samolotach we wrześniu 1939 r. latał por. Lew Kuryłowicz, prawdopodobnie także bojowo. [arch. rodziny Neyderów]



Przedwojenna fotografia więzienia w Stanisławowie, w którym bohater artykułu przebywał od 2 listopada do 13 grudnia 1939 r. [arch. NAC]

lu różnych sfer życia w ZSRR (jak rolnictwo, sądownictwo, szkolnictwo, infrastruktura, religia itd.), zaznaczając w niektórych miejscach, że jego wiedza pochodzi wyłącznie z rozmów ze współwięźniami, obywatelami sowieckimi. Szczególnie ciekawe są obserwacje dotyczące więziennictwa, bowiem oparte są na jego własnych przeżyciach:

Strażnicy więzienni po kryjomu nyciągali z żupy dla więźniów gęste i zjadali na korytarzach – widziałem. Więźniowie otrzymywali 600 gr. chleba, 20 gr. cukru, herbatę rano, żupę i kaszę (1 drewnianą byżkę) na obiad i żupę wieczorem. W celi prycze i sienniki, dość ciasno. Nikołajem, 1/IV do 7/IX 40 r. często dozorców więziennych widziało się pijanych. Dozorcy otrzymywali w magazynie więziennym „pajok”⁵. Kijów 7/IX-40 do 20/VI-41 r. ludność cywilna źle ubrana, wielka chciwość na ubrania polskie, obrabonywano w celach Polaków nawet z najgorszych łachów, które dla nich były strojem wytwornym. Więzienie przepelnione (...)

Charków 21/VI – 20-IX-41 r. (...) w więzieniach zredukowano racje żywności. Chleb do 480 gr., cukier i kaszę zupełnie. Przepelnienie w celach okropne. Od 30/VIII do 20/IX-41 r. epidemia czerwonki, energicznie zwalczana przez władze sanitarne, podniesienie racji żywnościowych na ten czas do wysokości przedwojennych⁶. Duża śmiertelność. (...)

Więźniowie narzekali na surowość sądów, za spekulację 5 lat, żołnierzy za spóźnienie 5 do 7, robotnicy za opuszczenie pracy od 1 roku, polityczni za byle poszlaki niudowodnione 5 do 10. (...)

Wyroków na miesiące nie spotykałem, średnio dawano wyroki: 3, 5, 8 lat. (...)

Więźniowie czekali wojny. Kijów 40/41 r. Sympatia była po stronie Niemców. (...)

Więzienie w Chersoniu od 23/XII-39 do 31/III-40 r. w celi dość ciasno, prycze i sienniki,żywienie normalne więzienne, jak opisałem poprzednio. Izolacja ścisła. Wyśmiewanie się władz więziennych z Polski. Nikołajem od 1-IV do 7/IX 40 w celach ciasno, gołe prycze, izolacja ścisła, umyślne podrzucanie strzępków gazet o niepowodzeniach Francji. Władze więzienne nasyczone nienawiścią do Polaków. „Czekaliśmy na was od 20 roku” – oświadczenie jednego z dyszurnych.

5 Pajok (ros. паёк) – racje żywnościowe.

6 Tj. z przed wybuchu wojny niemiecki-sowieckiej.



Wiza wyjazdowa z ZSRR i tymczasowy paszport wydane Kurulowiczowi w 1941 r., w okresie przygotowań do wyjazdu do Wielkiej Brytanii. [arch. IPiMS]

АВТОЧЕЛ

ВИЗА №

19 _____ л

Место выдачи _____

REPUBLIQUE POLONA
REPUBLIC OF POLAND

PASZPORT Nr. 3
PASSPORT

Obywatel Polski Kuryłowicz Lew Włodzimierz
Polish citizen Курьолович Лев Влодзимиревич

Urodzony Pokroje pod Kownem 30. X 1910
Born 30-th/II-1910

Stopień wojskowy porucznik pil.
Rank Pl. of.

Udaje się do Wielkiej Brytanii
Goes to the United Kingdom

Termin ważności do 30. VI. 1942.
Valid up till 30-th June 1942.

Buzużuk, dnia 27. X. 1941.



Dawóden Dywizjona Lotniczego:
Officer Commanding

G. G. G. G.
G. G. G. G.
Pr. lot.

Sekretarz Ambasady
Secretary of Embassy

A. Kofaltis



Kijów 7/IX-40 r. do 20/VI-41 r. W celi b. ciasno, leżeć na gołym cemencie tylko na boku bez możliwości wyprostowania nóg lub położenia się na plecy. Wszy i pluskwy stadami, z ubrania obrabowali więźnionie „szulicy”, którzy terroryzowali wszystkich i byli faworyzowani, okna bez szyb, w piecach nie palono. Charków 21/VI do 20/XI 40 r.⁷ w celach ciasniej niż w Kijowie, spać trzeba było siedząc, na wysokości 1 m od podłogi zapalka nie paliła się z braku tlenu, patrząc do celi widziało się fantastyczny splot mokrych, nagich ciał, śmiertelność duża, wyżywienie zredukowane wojenne, epidemia czerwonki. Odgrażanie się naszych i sowieckich Ukraińców, nacjonalistów Polakom. (...)

W ciężkich chwilach w Chersoniu podtrzymywali na duchu por. rez. piech. Albin Romanowski z Ostroga pięknymi opowiadaniem i z Armii Hallera i z wojny 18-20 rok podając rady i wskazówki do wykonania ucieczki; por. piech. Sudnik Piotr krzewił polskość pięknie z talentem opowiadając „Trylogię” Sienkiewicza. Ich wpływ niejednemu dodał sił do przetrwania tego makabrycznego okresu. (...)

Moje osobiste wrażenie, że wszyscy ci, którzy byli w Rosji uważają ją za wroga nie mniejszego od Niemiec.

Choć Kuryłowicz nie wspomina o tym, jego pobyt w więzieniu związany był niewątpliwie z toczącym się przeciwko niemu śledztwem, dotyczącym wymyślonych przewinień względem ZSRR. Niewykluczone, że na temat stawianych mu oskarżeń sam nie miał wiedzy, bowiem w ZSRR często rozprawy odbywały się zaocznie w więzieniach, a skazanych wzywano tylko na odczytanie wyroku. Gdyby nie wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, niewątpliwie prędzej czy później zostałby skazany na wyrok kilku lat pracy w obozie pracy (łagrze).

Wolność uzyskał 20 września 1941 r. w następstwie podpisania układu Sikorski-Majski, gwarantującego obywatelom polskim uwięzionym w ZSRR zwolnienie i prawo do wstąpienia do formowanego Wojska Polskiego. Kuryłowicz do Wielkiej Brytanii przybył na początku lutego 1942 r., po rejsie z Archangielska do Scapa Flow, w pierwszym transporcie lotników jaki opuścił Związek Radziecki. Po kompletnym przeszkoleniu pilotażowym, od 20 lipca 1943 r. służył w 306 Dywizjonie Myśliwskim „Toruńskim”, a od 9 sierpnia 1943 r. – w 316 Dywizjonie Myśliwskim

⁷ Winno być 1941 r.



Obóz Stacji Zbornej dla Lotników i Marynarzy Armii Polskiej w ZSRR w Kołtubance na przełomie lat 1941–1942, gdzie po zwolnieniu z sowieckiego więzienia por. Kuryłowicz oczekiwał na wyjazd do Wielkiej Brytanii. [arch. IPiMS]

Kpt. Lew Kuryłowicz już w Wielkiej Brytanii w 1943 r., w połowym mundurze typu battledress pozuje przed Spitfirem. [arch. W. Matusiaka]

1

13

porucik Kuryłowicz Lew
3-11-1942r.

Kamracom 12 sierpnia 1942 roku przybył
do Wielkiej Brytanii od 1/5/42 do 20/5/42 r. i
obchodził swoje 12 rocznicę na pod-
stawie rocznic z rocznicami serwisowymi.

10) Chaperon od 20/5/42 do 31/5/42 r. ego-
noidalni serwisowi. Leczni ogólna męska.
Raporci chleb w dawnych ilościach, idące
pierz misie w miarę czasu, dusz ruc misie
kawałek z chlebem pod paluch robota
to właśnie ugaszenie się z chlebem.
Stwierdził wzięcie w polubianym upiętym
i rury dla wzięcia gęste i gęste na
Kuryłowicz - młotem. Wzięcie
obłąkali bez chleba 20g, 20g, 20g, 20g
rano, 20g, 20g, 20g (20g, 20g, 20g) wale
i rury wzięcie. W celi psychicznej i męskiej
dla czasu. Młotem 20g do 20/5/42
gęste, drobne młotem, wzięcie 20g
półmęski. Serwis obłąkali a męskiej
nie wzięcie w „półmęski”. Wzięcie
20/5/42 do 31/5/42. Leczni ogólna i celi
wzięcie, wzięcie wzięcie na wzięcie
potrzeb, obłąkano w celiach. Wzięcie
nawet z wzięciem, laczni misie
dla misie były srogiem, wzięciem.
Wzięcie wzięcie. Any wzięcie
slonicy, wzięcie, 1942, na wzięcie 480g.

11) Chaperon 31/5/42 - 20/6/42 r. Chleb
na kartki pr 60g, dla laczni ogólny
w wzięcie wzięcie wzięcie wzięcie
chleb do 60g czasu. Wzięcie wzięcie
Przejęcie z chlebem obłąkali od 60/42

Pierwsza strona sprawozdania spisane przez por. Lwa Kuryłowicza po przybyciu do Wielkiej Brytanii w lutym 1942 r. [arch. IPiMS]

„Warszawskim”. Jego doskonale kwalifikacje przedwojennego myśliwca szybko dały o sobie znać: po szkole pilotażu odpuszczono mu zwyczajowy przydział na praktykę do jednostki nieoperacyjnej i skierowano go bezpośrednio do jednostki wyszkolenia bojowego (Operational Training Unit). Z kolei już w dywizjonie, podczas zaledwie sześciu pierwszych lotów bojowych zaliczono mu pewne zestrzelenie dwóch Focke-Wulfów 190. Jego kariera myśliwca rozwijałaby się zapewne spektakularnie, gdyby nie fatalne w skutkach zestrzelenie do morza w czasie szóstego lotu bojowego, o którym wspomniano we wstępie.

Po raz drugi do niewoli Lew Kuryłowicz dostał się na terenie Włoch (notabene, jako jedyny polski lotnik schwytyany w Italii nie tylko spośród 318 Dywizjonu, ale i całego lotnictwa). Fakt ten zakrawał na ironię losu. Jego wodowanie w Kanale La Manche spowodowane było tym, że nie chciał lądować po stronie niemieckiej kanału. Wiemy o tym z jego własnych słów: oczekując na ratunek, poczynił notatki na kołnierzyku odpiętym od swojej koszuli. Rozpoczął je od zdania:

*Por. pil. F/O Kuryłowicz P-1761 Lew nie chciał iść do niewoli skoczył do kanału w niedzielę 22/8-43. Piszę we wtorek, pływam już 2 dobę (...)*⁸.

Z kolei jego wyjazd do Włoch z Wielkiej Brytanii związany był z – jak sam to określał – „wodowstrętem”:

Nie mogłem opanować dziwnego, nieprzyjemnego uczucia, ilekroć znajdowałem się na linii przekraczającej brzeg. Nie mogłem utrzymać się w szyku, podświadomie dążyłem do tego, by być bliżej lądu. Patrzyłem w dół, na fale, zamiast na skrzydło poprzednika. Cierpiałem wciąż na wodowstręt.

Wreszcie postanowiłem przeprowadzić drakońską kurację. Gdy jako prowadzący kierowałem lotem samolotów, zarządzałem lot koszący nad wodą; wtedy musiałem być najniższej, a jedenaście samolotów szło nade mną. Muskałem niemal grzebień fal. Piloci nieraz oburzali się na moje brawurowanie, mówiąc, że chcą ich potopić.

Po pewnym czasie zwierzęcy strach przed morzem został pokonany, pozostała jednak odraza do jego złowieszczej, jesiennej szarości.

Gdyby tak nad Morze Śródziemne, myślałem! Czułbym się na pewno lepiej nad ciepłymi jego wodami...

8 Reprodukacja fotografii ze zbiorów IPiMS.

Okazja się nadarzyła prędko. Niedawno utworzono nowy Polski Dywizjon Myśliwsko-Rozpoznawczy, który wszedł do akcji we Włoszech. Poprosilem o przydział do niego.

Tak więc po dojściu do pełni zdrowia, 17 marca 1944 r. Lew Kuryłowicz opuścił Wielką Brytanię i drogą morską wyruszył do 318 Dywizjonu Myśliwsko-Rozpoznawczego „Gdańskiego”. Na lotnisku jednostki w Trigno na wschodnim wybrzeżu Włoch zameldował się 3 czerwca 1944 r. Na zadania bojowe zaczął latać 6 czerwca 1944 r. i były to pierwsze loty nad terenem nieprzyjaciela od feralnego 22 sierpnia 1943 r. Latem 1944 r. niemal codziennie brał udział w zadaniach bojowych. W 318 Dywizjonie również szybko zdobył sobie uznanie wytrawnego pilota. Po odejściu dotychczasowego dowódcy eskadry „B”, 7 sierpnia 1944 r. Kuryłowicz objął to stanowisko. Dwa dni później wystartował do swojego 45. lotu bojowego we Włoszech i 51. na Zachodzie (oprócz tego wykonał cztery loty operacyjne) – jak się okazało, ostatniego.

9 sierpnia 1944 r. 3 Dywizja Strzelców Karpackich i 5 Kresowa Dywizja Piechoty, jednostki 2 Korpusu Polskiego, rozpoczęły natarcie na niemiecką linię obrony na rzece Cesano. 318 Dywizjon miał na sobie ciężar rozpoznania taktycznego z powietrza terenu nieprzyjaciela. O godz. 5.50 z lotniska Falconara za sterami Spitfire’ów V wystartowała para: kpt. Lew Kuryłowicz jako prowadzący i por. Tadeusz Barwich jako boczny. Z zadania wrócił tylko Barwich.

W księdze działań bojowych (Operations Record Book)⁹ zanotowano krótko, że podczas zadania widoczność była dobra, a kpt. Kuryłowicz został zestrzelony przez ciężką obronę przeciwlotniczą w rejonie miasteczka Sant’Ippolito o godz. 6.35 i zginął. Z powodu ciężkiego ognia opl. por. Barwich musiał ratować siebie i był w stanie dostrzec jedynie otworzoną czaszę spadochronu swojego prowadzącego, nie wiedząc gdzie dokładnie wylądował (w kronice 318 Dywizjonu¹⁰ sprecyzowano dodatkowo: *po stronie niemieckiej, niedaleko pierwszych linii*).

Warto jeszcze napomknąć, że samolotem na którym leciał Kuryłowicz był Spitfire VC o nieustalanej literze bocznej (nr ewidencyjny EE810). Była to maszyna o zapisanej już karcie bojowej, używana uprzednio w 111 Squadronie RAF oraz 92 Squadronie RAF podczas lotów bojowych nad Maltą, Sycylią i Włochami. Dwaj piloci pierwszej z jednostek odnieśli na tym samolocie zwycięstwa powietrzne: P/O Arthurowi J. Adamsowi za-

9 National Archives, sygn. AIR 27/1711/17.

10 IPiMS, sygn. LOT.A.V.62/16.

liczono 12 października 1943 r. prawdopodobne zestrzelenie Messerschmitta 109 w rejonie Neapolu, a F/Sgt Kennethowi A. Plumridge'owi 6 listopada 1943 r. pewne zestrzelenie Messerschmitta 109G.

W 318 Dywizjonie dalsze losy Kuryłowicza pozostawały nieznane. Kronikarz jednostki, por. Włodzimierz Bereżecki, napisał o nim:

Kapitan Kuryłowicz, czyli nasz kochany „Lewka”. Jest to dla nas wszystkich najboleśniejszą stratą, od czasu istnienia dywizjonu. Lewka był u nas krótko, gdyż zwolniony z Rosji latał w Anglii w dywizjonie myśliwskim, był zestrzelony, pływał rekordowo długo na dinghy w kanale, czyli miał ciężkie osobiste przeżycia za sobą, a mimo to był pełen weny, czaru osobistego, zapалу do latania i był pod każdym względem wzorem Polaka oficera i pilota. Do nas przyszedł na ochotnika, chcąc dzielić los z armią polską na wschodzie, którą znał z rosyjskich więzień i „łagrów”. U nas już w pierwszych dniach zrobił się duszą i przewodnikiem wszelkich zabaw, śpiewów i innych bałasów kasynowych. Przez długi czas ludziliśmy się wszyscy, że któregoś dnia przywiozą go nasi armijcy, do których się jakoś przekradnie, a wtedy obiecywaliśmy sobie chodzić na uszach, wypić wszystkie zapasy w barze i śpiewać cały wieczór jego ulubioną piosenkę „Oj Zigi Zumba!”. Niestety wkrótce trzeba było stracić nadzieję. Kapitan Kuryłowicz nie powrócił z zadania bojowego jako d-ca eskadry B. Szczegółów dowiemy się po wojnie¹¹.

Z akt przechowywanych w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego dowiedzieć się możemy jedynie, że Kuryłowicz z niewoli powrócił do Wielkiej Brytanii 9 maja 1945 r. Po powrocie z niewoli lotnicy Polskich Sił Powietrznych latem 1945 r. wypełniali przed specjalną komisją tzw. protokół rehabilitacyjny. W przygotowanym na tę potrzebę formularzu byli jeńcy wypełniali następujące pola:

1. Stopień, nazwisko i imię.
2. Rok urodzenia.
3. W jakiej formacji pełnił służbę w chwili dostania się do niewoli.
4. Kto był wtedy jego bezpośrednim dowódcą:
 - Dowódca Dyonu.
 - Dowódca Eskadry.
5. Dokładne wskazanie miejscowości, dnia i godziny dostania się do niewoli.

11 Ibidem.

6. Krótki opis szczegółowy dostania się do niewoli.
7. Kto równocześnie został wzięty do niewoli.
8. Jak długo przebywał w niewoli i w jakich miejscowościach.
9. W jaki sposób powrócił.
10. Kto może poświadczyć prawdziwość podanych okoliczności.
11. Inne pytania szczegółowe.

Po rozpatrzeniu okoliczności dostania się do niewoli, komisja podejmowała decyzje, czy fakt dostania się przez danego lotnika można uznać za usprawiedliwiony, czy też nie. Protokoły rehabilitacyjne, co widać po zestawie stawianych w nich pytań, są bezcennym źródłem wiedzy na temat przejść polskich lotników w niewoli. Niestety, dokument tego typu dotyczący Lwa Kuryłowicza w IPiMS nie zachował się (a w każdym razie nie można go odnaleźć wśród wszystkich innych protokołów).

Na szczęście, Lew Kuryłowicz pozostawił po sobie obszernie wspomnienia, których maszynopis przechowywany jest obecnie w Ossolineum we Wrocławiu¹². Z ich lektury dowiedzieć możemy się jakie były losy oficera w niewoli niemieckiej od 9 sierpnia 1944 r. do 9 maja 1945 r.

Okoliczności zestrzelenia lotnik opisał obszernie w sposób następujący (należy zwrócić uwagę na świetny styl literacki oraz makabryczny opis ran, jakich doznał w powietrzu):

Zapuszcziliśmy się już dość daleko w głąb terenu nieprzyjaciela. Mijamy miejsca zazwyczaj silnie bronione ogniem artylerii przeciwlotniczej. Wszędzie niezmacona cisza.

Nie lubilem takiej ciszy, bywała ona zazwyczaj przysłoniwą ciszą przed burzą i czułem się w niej jak w ciemnościach, obawiając się, że zaraz o coś zawadzę. I nieraz zawadzałem. Trudno będzie zapomnieć Florencję, Sienę i Arrezzo, skąd wróciłem raczej dzięki posiadaniu więcej szczęścia niż innych walorów. A za każdym razem zaczynało się od złowrogiej ciszy.

Znacznie lepiej się czułem, kiedy miałem kontakt z nieprzyjacielem. Oczywiście nie za bliski, taki kiedy pociski rwą się na przyzwyczajonej odległości z tyłu, a po wybuchach można określić, gdzie należy spodziewać następnych i jak unikać ich zbyt bliskiego sąsiedztwa.

Na drogach pustki. Ani na linii frontu, ani na bezpośrednich tyłach nic ciekawego nie znalazłem. Kręciłem ślepo kilka razy na każdym podejrzanym miejscu. Schodziłem kilka razy bardzo ni-

12 Kuryłowicz L., Wspomnienia 1943–1970, archiwum Ossolineum – Zakładu Narodowego im. Ossolińskich sygn. O15606/II.

sko, niestety zamiast domniemanych zamaskowanych czółgów znajdowałem leje bomb przy drodze. Lecimy na dalsze tyły. Zauważyłem zaledwie parę samochodów. Niestety, musiałem zostawić je w spokoju, gdyż otrzymałem rozkaz nie atakować przed ruszeniem natarcia.

I oto przelecieliśmy całą trasę. Wypadamy na morze. Właściwie zadanie już skończone i można by było bezpiecznie morzem wracać do domu. Lecz za kilkanaście minut wyrusza natarcie i akurat będę mógł zobaczyć jego początek, jeżeli polecę z powrotem przez teren nieprzyjaciela, a poza tym a nuż jeszcze coś wpadnie w oko.

Rzeczywiście wpadło... Co prawda na szczęście nie w oko, ale bardzo blisko, bo prawie w ucho i to wcale nie to, czego chciałem...

Wybrawszy powrotną drogę ponad lądem, powiedziałem Tadeuszowi o swojej decyzji i zawróciłem do brzegu. Przecinamy brzeg. Na lewo zostawiam lotnisko w Fano. Lecimy w głąb lądu nad szosą, biegnącą wzdłuż rzeki. Mijamy miejscowość znaną z nadmiaru i celności znajdującej się tam artylerii i okrążając ją, skręcając w lewo, przecinamy rzekę, by wziąć kierunek do frontu.

Wtem zabrzmiał w słuchawkach spokojny głos Tadeusza:

– „Uważaj, grzeją do ciebie”

– „O key!” – odpowiedziałem i obejrzałem się. Trzy czarne obłoczki nykwitły na niebie w odległości około dwustu metrów za ogonem i znacznie wyżej ode mnie. Skręciłem ostro w prawo w stronę Tadeusza. W miejscu, które przed chwilą opuściłem, zablęsnęła iskra, strzeliła cienkimi ognistymi językami we wszystkie strony, tworząc nieregularną gwiazdę i zgasła w bezkształtnej, czarnej jak kleks tuszu plamie, która szarżując po brzegach i jakby puchnąc, zaokrągliła się w obłoczek dymu. Huk wstrząsnął samolotem. Trzy obłoczki zawisły na mojej wysokości, około pięćdziesięciu metrów w lewo.

Za dobre coś strzelają, myślę, za szybko się zbliżają... Duszę samolot, by zmienić szybkość i wysokość i lecieć chwilę po prostej, by w myśl mej własnej wypróbowanej taktyki, dać artylerzystom na nycelowanie, a w momencie odpalenia raptem skręcić i tak ich kiwnąwszy, znów patrzeć z boku na wybuchy z opuszczonym przed chwilą miejscem.

Tym razem jednak celownicy mnie wyprzedzili...

Zaledwie pochylilem samolot w lewo, gdy nagle drgnęła błękitna kopuła nieba wraz z sylwetką samolotu Tadeusza. Podskoczyła w górę i ruchem obrotowym naokoło mnie stoczyła się w prawo pode

mnie. Coś jakby dmuchnęło we mnie wytrącając rękę ze steru i odrzucając głowę na oparcie.

Rozległ się huk, który odebrałem nie tyle słuchem, ile całym ciałem. Na tle buku usłyszałem trzask tuż przede mną, w skrzynce manipulacyjnej mego radia. Stuchawka na lenym uchu rozpadła się na kawałki. Poczutem przypływ ciepła w całej twarzy. Zrobiło się dziwnie gorąco w oczach i całej głowie. W uszach dzwonienie. Czarne i złote na przemian kregi, rozchodzące się we wszystkie strony, jak na gładkiej powierzchni wody, do której wpadł kamień, przystończyły mnie wzrok.

– „Oberwałem: i oto tak się umiera”... – pomyślałem

Gdy się ocknałem nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się stało. Wiedziałem, że jestem w samolocie, ale dlaczego miga ciągle przed oczami to zieleni gór, to błękit morza?...

Aha, korkociąg, bo ręka nie na sterach, lecz zwiisa obok siedzenia.

Chcę chwycić ster. Nie mogę jednak od razu znaleźć go ręka, która wykonuje jakieś fałszywe ruchy, nie jest posłuszna...

Spojrzałem do wnętrza kabiny i przeraziłem się... Gruba struga krwi, bijąca fontanną gdzieś z okolicy lewego ucha, spada łukiem, rozpryskuje się na kolanie, gęsto pokrywając kroplami potłuczone zegary na tablicy przyrządów. W kabynie mokro i czerwono...

Cała groza położenia stanęła mi jasno przed oczami. Poruszyłem drążkiem. Żadnego skutku. Nie czuję oporu na sterach. Samolot wciąż się kręci, fontanna krwi wciąż bije, potęgując się przy każdym ruchu.

„Skakać”, myślę, „jak najprędzej skakać, zanim zemdleje...”. Zerwałem dźwignię i buda kabiny odleciała. Odpinam pasy, charakterystyczny szczepek odbezpieczonego zatrzasku klamry szeleku spadochronu przeraził mnie. W pośpiechu o mało nie pozbanilem się spadochronu, co nastąpiłoby przy byle naciśnięciu odbezpieczonej klamry w czasie skoku.

Cofam fatalny ruch. Przekręcam klamrę z powrotem na „zabezpieczone” i z natężoną uwagą zaczynam kontrolować swoje ruchy. Wstaje trzymając się za przednią pancerną szybę. Już prawie stałem, gdy nogi ugięły się w kolanach, a ciało rzucone w tył zajęło poprzednie miejsce na siedzeniu. Znowu usiłuję wstać i znowu ta sama wroga siła wgniata mnie do środka kabiny.

A morze i ziemia w moich oczach coraz szybciej zmieniają się miejscami, zlewając się w jeden szary kolor.

Straciłem poczucie czasu. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Szamocę się teraz tak długo, że następna zwiłka korkociągu może skończyć się na ziemi, a samolot tak zażdrośnie trzyma mnie w swym uścisku, jakby chciał ten ostatni lot ukończyć razem...

Znów wstaje. Już niemal stoję na siedzeniu, trzymając się za szybę i czuję, jak ręce słabną nie mogąc pokonać ciężkiego jak ołów ciała. Wtem drażek sterony przywarł do moich nóg.

Błysnęła nowa myśl. Opieram nogę o drażek i z całej siły kopię w przód.

Szyba wyslizgnęła się z moich rąk. Jakby z procy wyrzucony ponad dziobem samolotu, w kierunku obracającego się śmigła, które na szczęście umknęło w dół, jakby uciekając z pode mnie. Silne, bolesne uderzenie statecznika po krzyżu odrzuciło mnie w przód, na kilka metrów od samolotu.

Zapanowała cisza. Zawisłem w próżni, nie czując wcale ruchu. Sięgam po rączkę do otwierania spadochronu, lecz nie mogę jej dosięgnąć, bo prawa ręka bezwładna jest w stanie tokcjonym nie wykonuje tego, co chcę.

Zamachem całego ramienia zarzucam dłoń na leny bok. Palce trafiły od razu i mocno ujęły požądane żelazo. Kontroluję w myśli, czy znów w pośpiechu nie robię jakiegoś głupstwa. Szarpnąłem. Zaszaleściła z tyłu jedwabna tkanina, załopotala jak flaga na wietrze i strzeliła rozpinając się potężnym parasolem ponad głową.

Usta wyszeptały: „Boże, dzięki Ci za ocalenie”... Ucho złapało jakieś niewłaścive brzmienie. To niemrawy język zaplątał się i poprzestawiał zgłoski w dwóch ostatnich słowach.

Lecz dobry Bóg zrozumiał! Obejrzał się, chyba w stronę szeptu, przymrużył nieco oczy, by lepiej się przyjrzeć i rzekł: - „O, zdaje się, że słyszałem już kiedyś ten głos. Tak, rok temu i też tak samo z pod spadochronu. Stary znajomy... Tylko raz do roku tak pobożnie wzdycha... Ale dobre i to...”

I od tej chwili już nie spuszczał swego Oka z białej kopuły, aż póki czubająca śmierć nie zrezygnowała z łupu.

Bo oto naraż w górze rozległy się wybuchy. Z trudem przechyliłem na bok bezwładnie zwisającą na pierś głowę, by spojrzeć w górę. W sąsiedztwie spadochronu wisały trzy czarne obłoczki, ale samolotu nigdzie nie było.

Do czego strzelają, myślałem. Następne wybuchy...

Zaczynam domyślać się, co jest celem... Lecz cóż mogę uczynić? Wiszę bezwładnie, krew spływa po kamizelce ratunkowej i odrywając się dużymi kroplami spada w dół na ziemię, która się wcale nie przybliża...

Wtem dobrze znane i miłe uchu szczekanie działek i karabinów Spitfire'a wyrwało mnie z męczącego oczekiwania.

Otwieram oczy i widzę, jak nurkuje Spitfire. Ziejąc ogniem błyskawicznie zbliża się do ziemi na spotkanie setkom błysków i białych jak wielkie kłaki waty, wybuchów. Zapanał ogłuszający zgiełk kanonady.

To Tadeusz zaatakował ziemię, by ściągnąć cały ogień na siebie i dać mi możliwość wylądowania w spokoju. Prowadzę wzrok za samolotem do chwili, gdy zniknie z oczu na tle ziemi. Wrażawa ucichła. Szukam samolotu, powinien już wyciągać i uciekać, lecz go nie widzę...

Czyżby i jego rąbnęli – myślę... Czyżby przypłacił życiem swe bohaterstwo?...

Znowu zgiełk. Wybuchy wskazywały, gdzie go szukać. Atakował znowu z tego samego kierunku.

Szalenieć... pomyślałem. Co robi, po co powtarza atak w sam środek piekła ognia. Tak, to jest pilot-kolega...

Pagórki zaczęły szybko pod moimi nogami rosnąć. Przyziemny wiatr zaczął mną bujać, spostrzegłem, że lecę tyłem do kierunku, ale ani odwrócić się, ani pogasić wahań spadochronu nie byłem w stanie, byłem zbyt słaby. Perspektywa lądowania tyłem, nie widząc przeszkód, napętniła mnie nowym strachem, który wzrastał równocześnie z szybkością zbliżania się do ziemi.

Wylonit się z pod nóg dach farmy leżącej na pagórku. Następnie, drzewa, o które bym chyba zaczepił, gdyby nie spadek terenu na zboczu. Zaczęło się ściernisko. Szczyt pagórka z farmą zasłonił mnie od wiatru, wabania zmalowały. Tuż pod stopami uciekające kopy zboża. Mobilizuję wszystkie siły i podciągam się na pasach spadochronu, jakbym zamierzał unieść się w górę. I w tym momencie dotknąłem ziemię stopami, lekko przewracając się na plecy. Spadochron opadł.

Westchnąłem z ulgą, że lądowanie poszło tak gładko i wreszcie już jestem na ziemi.

Ale co dalej?...

Uwolnilem się z uprząży spadochronu i wstaję na czworakach. Głowa ciągnie do ziemi. Z trudem chwając się staję na nogi. Wtem odezwał się karabin maszynowy. Rzuciłem się na ziemię. Karabin umilkł.

Uszłeli się, by mnie wykończyć, pomyślałem... Rozglądam się wokół. Leżę na zboczu pagórka, przede mną w odległości kilku kroków kopy snopów, dalej załamania zbocza i przeciwległy stok, opadający do sąsiedniej dolinki, która tworzy jedną z trzech odnóg doliny rozwidlającej się u podnóża wzgórza. W dolinie dużo drzew i krzaków. Na wzgórzu farma.

Strzelali z sąsiedniego wzgórza, więc przede wszystkim, myślę, należy skryć się za kopy, a następnie pod ich osłoną ukryć się przed obserwacją za zboczem, gdzie ogień nie dosięgnie.

Czołgam się. Znowu zaczęli strzelać krótkimi seriami. Kule szleszczą w słomie ścierniska wznosząc kurz, a ja przyciskam się do ziemi i uparcie pełzę.

Wreszcie znalazłem się za kopą. Strzelac przestali. Leżę i odpoczywam. Wtem przypomniałem o swoich swastykach namalowanych na maewestce¹³, na pamiątkę zestrzelonych Niemców. Były one już prawie niewidoczne spod plamy skrzepłej krwi, ale jednak zdjąłem maewestkę i ukryłem w słomie. Tak, na wszelki wypadek, żeby nie drażnić bestii i bez tego żadnej krwi...

Podpełzałem dalej, tym razem na czworakach, więc nieco prędzej i łatwiej. Za chwilę usiadłem na brzegu rowu, prowadzącego z farmy na wzgórze, do doliny. Grzbiet wzgórza zastaniał mnie całkowicie od kierunku, z którego strzelano. Myślę, co robić dalej?!

Uciekać, ukryć się w krzakach w dolinie?... Za słaby jestem. Zemdleję i umrę z upływu krwi, której straciłem tak dużo w powietrzu i jeszcze wciąż tracę... Do frontu daleko. Konieczne potrzebuje pomocy, tak wszystko drży i miga przed oczami... W ustach sucho i gorzko...

Może tak rowem dostać się do farmy i poprosić o pomoc i schronienie?

A jeśli tam faszyci?... Słyszałem, że paru lotnikom już pomogli... ale umrzeć z pourywanymi nogami...

Ta myśl nappełniła mnie strachem i już nie spuszczałem oczu z farmy nie wiedząc, co jest gorszym niebezpieczeństwem – niemieccy żołnierze czy cywilni Włosi...

13 Mae-westka – żargonowa nazwa kamizelki ratunkowej.

Wtem posłyszałem jakiś odgłos. Odwracam wolno głowę w prawo i widzę, jak zatrzymuje się w biegu, tuż przede mną, niemiecki żołnierz. Podnosi karabin, składa się, celuje. Na twarzy jego widzę jakieś przerazenie. Jest blady, ma wytrzeszczone oczy i rozwarłe usta. Może to zmęczenie biegiem, bo i pierś szybko faluje, a może mój widok tak go przeraził.

Patrzę w czarny otwór lufy odległy metr od mojej twarzy. Otwór wydaje się dużym kraterem na tle twarzy Niemca, który zamyka usta, przymruża oko i wstrzymuje oddech...

Za chwilę strzeli, myślę, lecz po co?... Jak temu zapobiec?... Mechanizm mojej świadomości pracuje jakoś wolno, leniwie, z zacięciami, zbaczając się o drobne, nieistotne szczegóły... Wiem, że coś muszę uczynić... Lecz co? Aha już wiem... i podniosłem w górę ręce. Prawa w łokciu była bezwładna.

Widziałem, jak Niemiec wahał się przez chwilę. Jego policzek to się odrywał od kolby karabinu, to znów do niej przywierał. Lufa przed moją twarzą jeździła to w dół, to znów w górę. Wreszcie opuścił broń, a Boskie Oko zwróciło się w inną stronę, gdzie ktoś inny wzywał pomocy...

Niemiec, który wziął Kuryłowicza do niewoli, pomógł mu wstać i objawwszy ramieniem w pół podprowadził w stronę miejsca, gdzie lotnik wylądował. Po chwili podbiegli do niego inni żołnierze. Udzielono mu pierwszej pomocy bandażując głowę i szukając innych ran na udach (zabrano mu przy okazji zakrwawione spodnie, zostawiając go w samej bieliźnie). Przeszukano także jego kieszenie, zabierając pakiet uciezkowy (zawierający m.in. banknoty) oraz nieśmiertelnik, prawdopodobnie jako trofeum wojenne. Próbowano też zrabować zegarek, jednak po energicznych protestach polskiego oficera, został on zwrócony.

Na noszach Kuryłowicz został zanieiony w pobliże kwater żołnierzy. Został tam jeszcze raz zbadany przez oficera artylerii przeciwlotniczej, dowódcę baterii, która go zestrzeliła. Od Niemca dowiedział się o swoich ranach:

Tuż poniżej łokcia była bruźda koloru gotowanej szynki, długości około czterech centymetrów i głęboka na centymetr. Dwa mniejsze czarne otwory mniej więcej w połowie przedramienia. (...) Oficer pocieszył mnie, że to nic groźnego, że tuż pod uchem jest dziura długości cala albo dwóch, lecz głębokości nie mógł określić. (...) Poprosiłem go, aby obejrzał moje plecy (...) Okazało się, że krzyż był jednym wielkim sінcem¹⁴.

14 Ten i kolejne cytaty: Kuryłowicz L., Wspomnienia 1943–1970...

Kuryłowicz traktowany był dobrze, częstowano go papierosami i kawą. Został zabrany samochodem osobowym do punktu opatrunkowego w miejscowości Piagge¹⁵, kilkanaście kilometrów na północny wschód od Sant'Ippolito. Po kolejnych zabiegach mających na celu dezynfekcję ran, wyruszył innym samochodem, pod eskortą, do miasteczka, którego nazwy nie wymienił we wspomnieniach. Napomknął jedynie, że znajdowało się o godzinę jazdy górskimi drogami od Piagge. Był wycieńczony brakiem opieki medycznej i jazdą po wyboistych i krętych drogach. Przed szpitalnym budynkiem dodatkowo psychicznie pognębił go tłum cywilów włoskich, którzy przyszli oglądać alianckiego jeńca. Pilot wspominał:

Musiałem przedstawiać żalony i śmieszny widok. Miałem na sobie nieco krótką koszulę drelichową, którą kiedyś skracając uproszczonym sposobem oddarłem krzywo i oczywiście nie obrąbiłem. Z pod niej wystawał spory szmat pyjamy i krótkie białe kałesonki. Wszystko obficie zlane krwią.

Wstydzilem się. Czuję się ośmieszony, miałem żal za pozabawienie mnie spodni, a tu na złość prowadzą mnie poprzez duże podwórko zapelnione ludźmi do domu stojącego w głębi.

Zamiast pomocy lekarskiej, podjęto próbę przesłuchania. Kuryłowicza odpytywał dobrze mówiący po angielsku podoficer, jednak uzyskawszy jedynie informacje na temat stopnia, nazwiska i numeru służbowego, na stanowczą prośbę Kuryłowicza zabral go do znajdującej się w pobliżu czołówki chirurgicznej. Lotnik wspominał, że działo się to ok. godz. 11, a więc około czterech godzin po zestrzeleniu. Tam został poddany operacji pod narkozą.

Wspominał, że w czołówce chirurgicznej spotkał dwóch mówiących po polsku żołnierzy niemieckich (być może byli to wcieleni przymusowo do Wehrmachtu mieszkańcy Pomorza, Wielkopolski lub Śląska). Nie opuszczał go także niemiecki podoficer i w dalszym ciągu próbował uzyskać od niego informacje wywiadowcze.

Z czołówki chirurgicznej Kuryłowicz został przewieziony sanitarką do szpitala polowego. Na czas podróży dano mu zastrzyk z morfiną. Według spisanych przezeń wspomnień, trafił do Feldlazarett 200 (Szpital Polowy nr 200), który w owym czasie, jak się wydaje, stacjonował w Forli¹⁶ lub

15 We wspomnieniach Kuryłowicz napisał „Piaggia”, jednak takiej miejscowości we Włoszech nie ma.

16 http://www.weltkriegsopfer.de/Krieg-Opfer-Kurt-Erich-Max-Merly_Soldaten_0_808497.html, dostęp 28 marca 2015 r.; podane są dane żołnierza Wehrmachtu nazwiskiem Kurt Merly,

okolicach, a więc około 100 km na północny zachód od dotychczasowego miejsca pobytu. Kuryłowiczowi powiedziano, że jest to placówka, w której personel medyczny specjalizuje się w leczeniu urazów głowy.

W szpitalu po dalszej diagnostyce, której dokonano m.in. za pomocą zdjęć rentgenowskich, ustalono, że w pierwszym kręgu szyjnym tkwi odłamek, jednak jego usunięcie będzie bardzo trudne. Odłamek ów został operacyjnie wyciągnięty dopiero po wojnie w Wielkiej Brytanii i wedle relacji Kuryłowicza miał *dwa centymetry długości i co najmniej centymetr szerokości*.

W Feldlazarecie 200 Kuryłowicz po raz pierwszy spotkał się w niewoli ze złośliwością personelu medycznego. O jednym z lekarzy pisał:

Przemawiałem do niego po angielsku, po włosku, po francusku, po polsku i nawet po rosyjsku. On ciągle twierdził, że nie rozumie, że nie zna żadnego języka prócz niemieckiego. A gdy ja powiedziałem, że naprawdę nie rozmawiam po niemiecku, dziwnie obiecującym tonem powiedział: „Nawet po psiemu będziesz szczeleć, kiedy cię dobrze zaboli”.

Po psiemu nie zaszczekałem – niemieckiego nie nauczyłem się nawet w niewoli. Z nienawiści.

Kuryłowicz został położony w jednej 12-osobowej sali z niemieckimi żołnierzami (w tym jednym znającym język polski Ślązakiem), po raz pierwszy na normalne szpitalne łóżko. Jako Polak, oficer i na dodatek lotnik, wzbudził zainteresowanie innych pacjentów. Także tutaj dotarł do niego znany mu podoficer, usiłujący wycisnąć z niego choć garść informacji.

Jego opinia o Niemcach polepszyła się:

Mój strach i nieufność do Niemców, za wyjątkiem naczelnego lekarza, znacznie zmalały. Niemieccy współtowarzysze niedoli zaczęli wydawać się takimi samymi jak ja, nieszczęśliwymi, cierpiącymi ludźmi. W stosunku do mnie nie okazywali żadnej wrogości z powodu swych ran, tak jak i ja nie winiłem ich osobiście za swoje rany. Byliśmy wszyscy tylko pionkami na wielkiej szachownicy, przesuwanymi rękami Historii. Przyjęli więc mnie jak kolegę, dzielili się swoim skromnym, sześć sztuk dziennie, przydzielałem papierosów.

Niestety, w relacji Kuryłowicza nie znajdujemy dokładnych dat, jednak pośrednio można wywnioskować, że około 17–18 sierpnia został zabrany

zmarłego w Feldlazarett 200 w Forli 16 sierpnia 1944 r. (a więc dokładnie w tym samym czasie, w którym w niewoli w szpitalu polowym leżał Kuryłowicz).

z Feldlazarettu 200 i przewieziony z innymi rannymi jeńcami do Mantui¹⁷ w kolumnie trzech sanitarek. Po drodze spotkał się z dobrym traktowaniem ze strony wartownika niemieckiego i otwartą wrogością ze strony włoskich policjantów, przed którymi rannych jeńców chroniła jedynie obecność uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu.

Jak wspominał Kuryłowicz, na kopercie z dokumentami jego dotyczącymi widniał napis „Luftwaffe Lazarett” (a zapewne, zgodnie z niemiecką pisownią: „Luftwaffen-Lazarett”). Nazwa ta wskazywała, że planowano go przewieźć do jednego ze szpitali Luftwaffe; ówczesnie w północnych Włoszech były cztery takie placówki: Lw.-Lazarett (o) 8/VII w Riva del Granda, Lw.-Lazarett (o) 10/VII w Bergamo oraz Lw.-Lazarett (o) 11/VII w Cernobbio (dopisek „(o)” oznaczał, że jest to szpital stacjonarny)¹⁸. Nie jest więc jasne, gdzie docelowo trafić miał Kuryłowicz. Ostatecznie jednak zawieziono go do cywilnego włoskiego szpitala w Mantui, którego część wyznaczona była na potrzeby jeńców. Opiekę stanowili włoscy cywilni lekarze i siostry zakonne, a obsługa kuchenna i porządkowa składała się z jeńców, którymi byli na ogół Południowoafrykańczycy.

Kuryłowicz leżał na wspólnej sali z czterema brytyjskimi oficerami i czterdziestoma szeregowymi. Według jego opinii, szeregowi byli wrogo ustosunkowani do oficerów, zarzucając im dekownictwo. Dodatkowo, po raz pierwszy w niewoli spotkał się z wymierzonymi w jeńców elementami niemieckiej propagandy. Narzekał także na ogólne warunki bytowania:

Pozbawiono nas osobistego ubrania, a południowy Afrykańczyk Bob, porządkowy sali, ze szczególną sumiennością dopilnował, żeby nawet moja piżama, w której mnie zestrzelono, nie pozostała u mnie. Dano mi w zamian krótką, nocną koszulę, w której spałem, chodziłem w dzień i używałem jako ręcznika. Osobistych ręczników nie było, wszyscy wycierali się wspólnym, wiszącym w umywalni, zawsze brudnym i mokrym. Rana na szyi wciąż się ropiła, nie mogłem używać wspólnego ręcznika ze względu na siebie i na innych, prosiłem więc Boba o kawałek płótna czy flaneli. Usłyszałem odpowiedź: „A piastką w ząbki nie przydadaby się, Sirrrr?”. Wycierałem się więc w koszulę, którą następnie suszyłem siedząc na balkonie.

17 Kuryłowicz nazwę miasta zapisywał odpowiednio jako „Monawa” i „Mantova”, jednak bez większego ryzyka stwierdzić można, że chodzi o Mantuę (w języku włoskim: Mantava).

18 <http://www.axishistory.com/axis-nations/198-germany-luftwaffe/luftwaffe-medical/5863-luftwaffen-lazarett>, dostęp 4 kwietnia 2015 r.

Zalotny przedstawiałem widok siedząc na werandzie bosy, w nieprzyzwyczajonej krótkiej, brudnej koszuli nocnej, ze zwojem brudnych, poplamionych krawa i ropa, bandaży wokół twarzy, zawiązanych na czubku głowy w kokardę, przypominającą uszy królika. Obandażowana ręka, wetknięta w zanadźre, długi, rudy zarost. Karykatura prze-rośniętego niemowlęcia, gwałtownie potrzebującego ogolenia i wanny.

Po pewnym czasie rozpoczął przygotowania do ucieczki. Planował zbiec ze szpitala i doczekać nadejścia frontu. Inspiracją i pomocą dla niego był podoficer 2 Korpusu Polskiego, kpr. Monid¹⁹, sam wciąż jeszcze leczący gojący się kikut ręki, którą stracił na froncie włoskim. Monid dużo lepiej znał układ szpitala, przejścia, sposób pełnienia wart i swoją wiedzą dzielił się z Kuryłowiczem. Podczas jednego ze wspólnych spacerów mających na celu rozpoznanie budynku szpitala, Monid z Kuryłowiczem zostali zauważeni w niedozwolonym miejscu przez jedną z siostr, która zaalarmowała krzykiem porządkowego, który natychmiast doniósł na Kuryłowicza Niemcom. Bezpośrednio potem polski lotnik został pod eskortą wywieziony do położonego koło Mantui obozu jenieckiego, Dulagu 339²⁰. Skróć Dulag oznaczał Durchgangslager, tzn. obóz przejściowy. Zajmował się przetrzymywaniem jeńców na zapleczu frontu do momentu przetransportowania ich w większej grupie do stałych obozów jenieckich znajdujących się zwykle na terenie Rzeszy (tj. stalagów i oflagów).

Pierwszą noc w obozie Kuryłowicz zrelacjonował następująco:

Obóz mieścił się w paru odosobnionych budynkach gospodarskich. Zamknięto mnie w wielkiej, murowanej, krytej blachą stodole, dostosowanej do wymagań izby chorych.

Samotny i kompletnie nagi, bo odebrano jedyną koszulę, przesiedziałem tam do rana. W ciągu dnia zwrócono mi koszulę, zabandażowano głowę i pozwolono wyjść na podwórze do znajdujących się tam jeńców. Odmówiłem wyjścia do czasu, aż dostanę spodnie. Przynieśli brytyjskiej mundur polony. Poczuciu godności osobistej uczyniło się żadość.

19 Być może kpr. Mikołaj Monid z 5 Kresowej Dywizji Piechoty.

20 W Manui mieściły się jeden tylko obóz jeniecki: Stalag 337, przemianowany na Dulag 339, ale okreśłany czasem – prawdopodobnie błędnie – jako Stalag 339; <http://www.lexikon-der-wehrmacht.de/Kasernen/Italien/KasernenMantua-R.htm>, dostęp 4 kwietnia 2015 r.; <http://www.moosburg.org/info/stalag/laglist.html>, dostęp 4 kwietnia 2015 r.; http://en.wikipedia.org/wiki/List_of_World_War_II_prisoner-of-war_camps_in_Italy, dostęp 4 kwietnia 2015 r.; ponadto, w katalogu National Archives znajdują się raporty Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dotyczące Dulagu 339 (byłego Stalagu 337) z lat 1944–1945; sygn. WO 361/1831



Grupowa fotografia pilotów i personelu naziemnego 318 Dywizjonu Myśliwsko-Rozpoznawczego „Gdańskiego” na lotnisku w Trigno we Włoszech w czerwcu 1944 r. Kpt. Lew Kuryłowicz pozuje na lewo od skierowanej ku dołowi łopaty śmigła. Oprócz niego wśród stojących na ziemi widoczni są inni piloci: por. Ignacy Święcicki (trzeci od lewej), por. Sewer Buckiewicz (piąty od lewej), por. Czesław Nowak (ósmym od lewej, przy łopacie śmigła), por. Zbigniew Kalinowski (dziewiąty od lewej), kpt. Zbigniew Moszyński (dziesiąty od lewej) i por. Bronisław Gaworski (dwunasty od lewej). Tęm zdjęcia jest Spitfire VC „F” (MH584). [via W. Matusiak]

Jeńcy brytyjscy na terenie obozu Stalag VIIA w Moosburgu w Bawarii w listopadzie 1943 r. Kuryłowicz trafił tam rok później, jesienią 1944 r. [arch. Imperial War Museum]



WAR THEATRE #12 (Germany) PRISONS & PRISONERS

(over)

Print (Mission No. 5255, CB-106-0, 9 Apr. 45
Exp. No. 1182) rec'd January 1951 from Library
Branch PRSD. Neg. on file in Film Files.
Stamp: "No Obj. to Pub. 28 July 1953 (1h)
CPT-DCD." Copied 13 June 1960.



92540AC

Wykonane przez amerykańską załogę 9 kwietnia 1945 r. zdjęcie obozu jenieckiego Stalag VIII A w pobliżu miasteczka Moosburg an der Isar. Doskonale widoczne są m.in. baraki, ścieżki, boisko sportowe oraz wymalowane na części budynków znaki czerwonego krzyża. [arch. NARA]

Według relacji Kuryłowicza, w obozie trzymano kilka tysięcy Brytyjczyków, kilku oficerów jugosłowiańskich i trzech oficerów 2 Korpusu Polskiego. Jednym z nowo poznanych przez lotnika oficerów brytyjskich był Derek Bond, znany przed i po wojnie jako aktor teatralny, filmowy i telewizyjny (w czasie wojny był oficerem pułku piechoty Grenadier Guards). Kuryłowicz zaprzyjaźnił się z nim, dzieląc losy aż do grudnia 1944 r. Zdaniem lotnika morale w obozie było wysokie, planowano ucieczki w drodze do właściwego obozu. Wkrótce – niestety, z relacji trudno nawet orientacyjnie wywnioskować, jaki był to miesiąc – jeńców ewakuowano koleją do obozu Stalag VIIA w mieście Moosburg an der Isar.

Nowe miejsce uwięzienia Kuryłowicz opisywał następująco:

Stalag VIIA był wielkim międzynarodowym obozem w Moosburg, koło Monachium, podzielonym na podobozы dla każdej narodowości. A więc Amerykanie, Brytyjczycy, renegaci Włosi, Jugosłowianie, Francuzi, Grecy i Polacy z kampanii wrześnieowej. Oficerowie wszystkich narodowości mieszcili się w jednym podobozie, natomiast oficerowie brytyjscy mieli dla siebie osobny barak.

Mnie jako RAF-owca zakwaterowano (...) w baraku brytyjskim.

Trzech pozostałych oficerów z 2 Korpusu Polskiego skierowano do jednego baraku z Włochami, co wywołało protesty Kuryłowicza skierowane do brytyjskiego starszego obozu. Stając do apelu razem z Polakami, i odmawiając powrotu do Brytyjczyków, doprowadził do przeniesienia ich do baraku brytyjskiego. We wspomnieniach szeroko komentował ten brak lojalności Brytyjczyków wobec żołnierzy polskich, do niedawna towarzyszy broni z 8 Armii Brytyjskiej, a także podkreślał dyskryminację przez Niemców Polaków, tj. nierespektowanie wobec nich praw przysługujących jeńcom innych narodowości.

Niezależnie, komplementował morale polskich żołnierzy z kampanii wrześnieowej, którzy przebywając w niewoli kilka lat zachowali żołnierską postawę i wygląd. We wspomnieniach opisał „defiladę”, jaką odebrał od maszerujących na mszę jeńców polskich:

Pewnego niedzielnego poranka stałem z brytyjskimi oficerami przy naszej bramie, obserwując ciągnące się niechlujne kolumny jeńców do obozowego kościoła. Brudne porozpinane mundury, sterzące jak rogi do góry odpięte naramienniki, rozczochrane bez okrycia głowy. Pałac i gwarząc człapali nie w nogę w niezaszyturowanych brudnych butach, jak długa odrażająca stonoga zdegradowanej ludzkości...

Nagle rozległ się miarowy żołnierski krok, nadchodziła wojskowa kolumna. Rzędy wyrównane, pokryte, odstępów równe. Wprawdzie w starych latanych – ale wyprasowanych i schludnie zapiętych mundurach. Orzelki na czapkach, dystynkcje na naramiennikach. Polatane, lecz błyszczące buty. Na przędzie szedł sierżant.

„Jak u Boga, potrafili oni zachować swe mundury tak porządknie?” – powiedział któryś z Anglików.

Podchodząc na wysokość bramy sierżant krzyknął: „Na prawo patrz...” Wszystkie głowy jak jedna zwróciły się w moją stronę.

Stałem na baczność i zasalutowałem. Niemiecki strażnik przed bramą zaczął krzyzczeć: „Verboten... Raus²¹”. Zaczął merdać karabinem, lecz widząc, że nie potrafi powstrzymać defilady, odszedł pośpiesznie, by nie być bezsilnym świadkiem tej spontanicznej demonstracji niezłomnego ducha znienawidzonych Polaków.

Stałem salutując samotnie przy bramie aż ostatnia czwórka minęła. Anglicy się rozbiegli, ja byłem zdecydowany nie ruszyć z miejsca nawet, gdyby strażnik miał strzelić. Ta defilada była największym zaszczytem w całym moim wojskowym życiu.

Kuryłowicz opisywał także brak dostępu do prawdziwych informacji z frontu oraz kiepską jakość żywności:

Jedzenie stawało się coraz gorsze. Bochenek chleba na pięciu na dzień, pięć pół zgnilych gotowanych w łupinach kartofli i talerz zupy z kapuścianych lodg.

(...) Derek odkrył w sobie talent kulinarny i przerabiał nasze zgnile kartofle w dość jadalne mieszaniny i placki, zapiekając je z dodatkiem bądź ryby, bądź mięsnych konserw i tłuszczy z paczki Czerwonego Krzyża.

W Moosburgu Kuryłowicz należał do zorganizowanego przez Dereka Bonda kółka dramatycznego i uczestniczył w przygotowaniach do spektaklu.

Jeszcze jesienią 1944 r. (według słów Kuryłowicza *na parę tygodni przed Bożym Narodzeniem*; zapewne pod koniec listopada lub na początku grudnia 1944 r.) został przeniesiony do Stalagu Luft 3, obozu dla lotników alianckich pod nadzorem Luftwaffe. Początkowo był to obóz jedynie oficerski, potem więziono tam także podoficerów. Był równocześnie największym skupiskiem polskich lotników: w czasie wojny przebywało tam ich przynajmniej 107²².

21 Verboten... (niem.) – Zakazane! Precz.

22 Liczba na podstawie badań własnych autora artykułu.

Do Żagania Kuryłowicz został przewieziony nocą, pociągiem, w eskorcie dwóch podoficerów.

Stalag Luft 3 wydał mi się dobrze zagospodarowanym, samonystarczalnym, małym miasteczkiem, składającym się z licznych drewnianych baraków. Otoczony i poprzędzielany wysokimi, oświetlonymi płotami z kolczastych drutów. Było tam ogromne boisko sportowe, ślizganka, dobrze zaopatrzone sale wykładowe, biblioteka i dobry teatr z dobrze wyposażoną sceną i naprawdę utalentowanymi artystami.

O wyżywieniu pisał:

W ogóle żywność w Stalag Luft 3 była znacznie lepsza niż w Moosburgu. W zasadzie raczej były podobne, lecz kartofle nie były aż tak zgniłe, paczki Czerwonego Krzyża prawie regularnie raz na tydzień, zupa na odmianę z brukwi, trochę czystsza chociaż bardzo cienka... i raz na tydzień kawałek jakiegoś mięsa.

Gotowaliśmy sobie sami zespołami po dwunastu, tak jak mieszkaliśmy. Cały dzień byliśmy przeważnie głodni, ale wieczorem uroczysty posiłek był prawie wystarczający. Dzięki paczkom indywidualnym z Anglii i przydzielonym z Czerwonego Krzyża, papierosów mieliśmy naprawdę w bród. Zamiast przecinać papierosa na cztery części jak w Moosburgu – było nas stać nawet na wysłanie na prezent świąteczny kilku tysięcy mniej popularnych gatunków papierosów do pobliskiego polskiego obozu.

Dużą ciekawostką jest to, że porównując warunki panujące w Stalagu Luft 3 do sowieckich więzień, Kuryłowicz Żagań określił mianem *harcerskiego obozu letniego*.

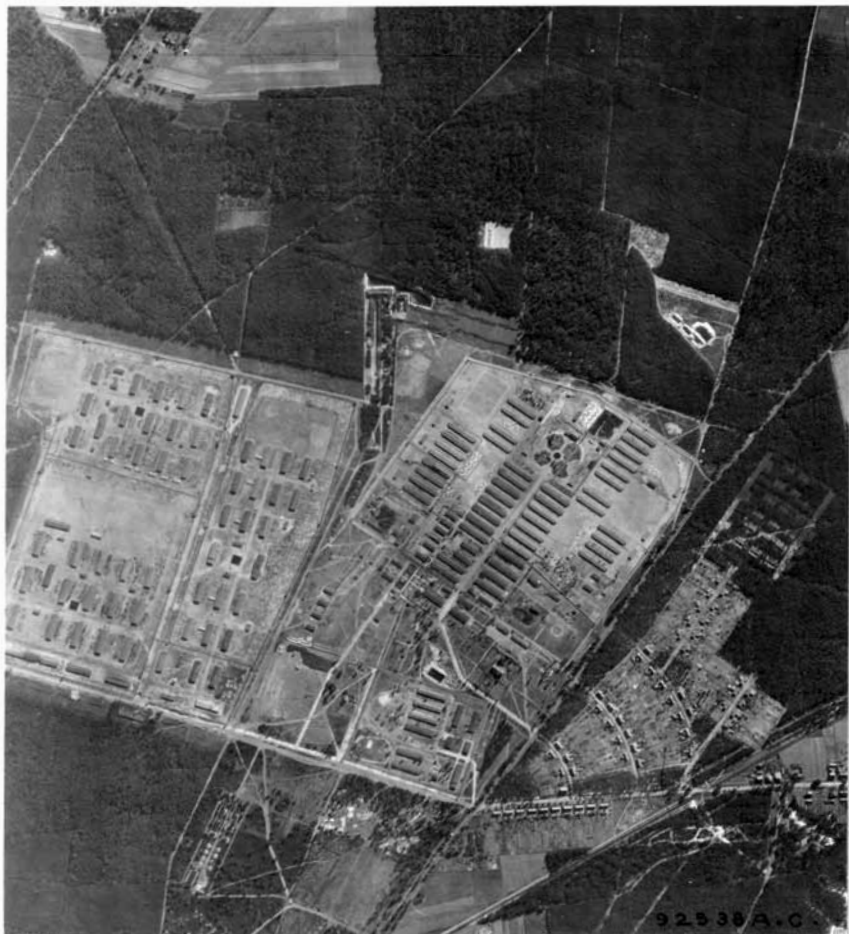
Krótko po przybyciu do Żagania, 4 grudnia 1944 r.²³, był świadkiem poświęcenia pomnika na grobie zamordowanych jeńców, którzy zbiegli ze Stalagu Luft 3 w ramach słynnej „wielkiej ucieczki” nocą z 24 na 25 marca 1944 r. Spośród 76 jeńców tylko trzem udało się uciec na Zachód. 50 spośród schwytanych zamordowało Gestapo, na bezpośredni rozkaz Adolfa Hitlera. Prochy rozstrzelanych rzekomo przy próbie ucieczki jeńców Niemcy przywieźli do Żagania i pozwolili pochować z honorami wojskowymi.

Kuryłowicz wspominał o słuchaniu przez jeńców komunikatów informacyjnych BBC. W ten sposób dotarły do niego informacje dotyczące planowanych zmian terytorialnych Polski po wojnie (znamienne, że było to jeszcze przed ogłoszeniem postanowień jałtańskich!). Oficer pisał:

23 Szubański R., Pięćdziesięciu z Żagania, Książka i Wiedza, Warszawa 1987

Print (Mission No. 2958 - CR-106-G - 17 Sept 1944 - Exp. No. 4032) rec'd January 1954 from Library Branch PRSD. Neg. on file in Film Files. Stamped: "No Obj. to Pub. 28 July 1953 (14) OPI-DOD." Copied 16 Nov. 1959

A20265



Inna fotografia lotnicza, tym razem przedstawiająca część Stalagu Luft 3 oraz Stalag VIII C w Żaganiu. Spust migawki nacisnął lotnik USAAF 17 września 1944 r. [arch. NARA]



Teren obozu Stalag Luft 3 na fotografii wykonanej w 1942 r. Na pierwszym planie pozują mjr Stefan Janus (z lewej) i mjr Henryk Szczęsny, wieloletni przyjaciel Kuryłowicza. W tle widoczny jest jeden z baraków oraz charakterystyczne dla żagańskiego obozu sosny.

[arch. M. Ślizowskiego]



Któregoś dnia podano oświadczenie Churchilla, w którym zgadzał się na oddanie wschodniej Polski – Rosji. Czulem się tak zraniony, tak boleśnie oszukany i obrabowany ze wszelkiej nadziei. Nie miałem po co czekać końca wojny. Nie miałem kraju, do którego mógłbym wrócić... Kraj, za który walczyłem, zostaje oddany jako zapłata za udział w wojnie. Więc za co ja walczyłem? Jako najemnik, za zapłatę przelewałem krew? Co za degradacja!

To był okres, kiedy Niemcy mogliby pozyskać ochotnika do Luftwaffe, żeby tylko mnie zaproponowali...

Kuryłowicz początkowo trafił do tzw. obozu wschodniego, gdzie oprócz niego przebywało jeszcze trzech Polaków z dywizjonów bombowych, a większość współjeńców stanowili Brytyjczycy. Jako nowo przybyły przeszedł dokładną weryfikację przez jeniecki kontrwywiad. Informacje podawane przez niego były weryfikowane wśród polskich oficerów, których większość trzymana była w obozie północnym. Dowiedziawszy się o tym, Kuryłowicz podjął starania o przeniesienie:

Zapałałem chęcią dołączenia się do nich. Wiedziałem, że tam był oficer o tym samym co i ja nazwisku, więc złożyłem prośbę do niemieckiego komendanta obozu o przeniesienie mnie do brata. Tego rodzaju sprawy przewidziane były przez Konwencję Geneńską. Argumentowałem ponadto tym, że mogę mieć poważną operację i przed nią chciałbym zobaczyć się z bratem.

Jego prośba została uwzględniona. Oficerem, o którym mówił Kuryłowicz, był por. Piotr Kuryłowicz z 315 Dywizjonu Myśliwskiego „Dęblińskiego”, który dostał się do niewoli 13 maja 1943 r., po tym jak jego Spitfire F.IX PK-A (BS410) uległ awarii. Oczywiście, lotnicy nie byli w żaden sposób spokrewnieni, co więcej, pisownia ich nazwiska była odmienna. Po przeniesieniu Kuryłowicz spotkał wielu myśliwców, głównie kolegów z 1 Pułku Lotniczego, m.in. swojego wieloletniego przyjaciela mjr. Henryka Szczęsnego, znajomego jeszcze od czasów dęblińskiej podchorążówki.

Nad ranem 27 stycznia 1945 r. w obliczu szybkich postępów Armii Czerwonej Stalag Luft 3 został ewakuowany. Za wyjątkiem chorych, wszystkich jeńców popędzono pieszo na zachód. Marsz odbywał się w trudnych warunkach pogodowych, w śniegu, w szybkim tempie. Dla niedożywionych więźniów, którzy musieli nieść swój dobytek i zapasy żywności, często był to wysiłek ponad siły. Sam Kuryłowicz sceny porównywał do odwrotu armii Napoleona spod Moskwy i wspominał, że dla nie-

go wystarczającą motywacją do marszu była świadomość, że ze wschodu nadciągają Sowieci:

Pomimo uszkodzonego kregostupa i odłamka w karku ciągle wyprzedzałem ledwo wlokących się, omdlewających z wyczerpania, a przecież znacznie młodszych ode mnie Anglików. Ich widocznie nie popędzała obawa dopędzenia przez front. (...) Widocznie duch znaczył więcej niż siła fizyczna...

Pieszcy jeńcy dotarli do Bad Muskau nad Nysą Łużycką, gdzie zarządzono kilkudniowy odpoczynek w tamtejszym majątku. Następnie kolumna marszem udała się do Sprembergu, skąd kolejną poszczególne grupy rozwieziono do innych obozów jenieckich (ze wspomnień Kuryłowicza wynika, że odjazd kolejną nastąpił z Bad Muskau, jednak przez miasto nie biegnie linia kolejowa i jest to niewątpliwie pomyłka).

W Sprembergu jeńców rozdzielono według miejsca zakwaterowania w Żaganii: więźniowie obozu północnego (a więc i Kuryłowicz) i wschodniego zostali wysłani do Marląg i Miląg w Tarmstedt, z obozu wschodniego – do Stalagu XIIIID w Norymberdze, z obozu centralnego i południowego – Stalagu VIIA w Moosburgu an der Isar, a z obozu zachodniego – Stalagu IIIA w Luckenwalde.

Marlæg (skrót od Marinenlager – obóz marynarki) i Miląg (Marineinterniertenlager – obóz internowania marynarki dla personelu alianckiej marynarki handlowej) były dwoma ośrodkami znajdującymi się w pobliżu miejscowości Westertimke (choć w historiografii wymienia się na ogół nazwę Tarmstedt, pobliskiego miasteczka) ok. 30 km na północny wschód od Bremy. 4 lutego 1945 r. dotarło tam ok. 3000 jeńców ze Stalagu Luft 3²⁴.

Był to obóz po jeńcach marynarki – relacjonował Kuryłowicz – i jak widać nie zamieszkały od dłuższego czasu. Przez kilka pierwszych tygodni warunki były ciężkie. Nie było paczek Czerwonego Krzyża, zanim nie zorganizowano ich dostawę z Lubeeki, z czym się oczywiście nie spieszono. Baraki były zaniedbane, nie było żadnych udogodnień kulturalnych Stalagu Luft 3. Z drugiej zaś strony nie było również tamtej dyscypliny.

Pilnowała nas morska piechota najstarszego wydania, rezerwiści w wieku 55-60 lat, którzy tak jak i my z niecierpliwością czekali na przyjsie aliantów, a w międzyczasie z jednakową gorliwością starali się zadowolić swoich zwierzchników jak i nas jeńców.

24 <http://www.relikte.com/westertimke>, dostęp 4 kwietnia 2015 r.

2 kwietnia 1945 r. (w relacji Kuryłowicz podaje, zapewne myląc się, *pod koniec marca*) obóz został po raz kolejny ewakuowany marszem w stronę Lubeki, ok. 140 km na północny wschód w linii prostej. Eskortę stanowili początkowo surowi żołnierze Luftwaffe, a potem wyrozumiała piechota Kriegsmarine (zmianę warty Kuryłowicz we wspomnieniach skwitował: *marsz nabrał charakteru nycieczki*). Jeńcy maszerowali za dnia, noc spędzając na odpoczynku biwakując na polach w pobliżu mijanych wsi. 28 kwietnia 1945 r. dotarli do Lubeki, jednak wobec bombardowań miasta brytyjski komendant wymógł na dowódcy eskorty, by cofnąć się do miejsca ostatniego noclegu, gospodarstwa pod Lubeką, by oczekiwać tam końca wojny. W trakcie ostatnich dni, doskonale zdając sobie sprawę z sytuacji, strażnicy stali się de facto – wedle słów polskiego pilota – ordynansami jeńców i pomagali im w handlu z miejscową żywnością jako tłumacze, a nawet nosili koszyki z towarami.

Gospodarstwo, na terenie którego biwakowali jeńcy, zostało zajęte przez oddziały brytyjskiej 11 Dywizji Pancерnej 2 maja 1945 r. około południa. Kuryłowicz wspominał, że jako pierwsze zjawily się dwa czołgi z kanadyjską załogą. Jeńców poinformowano, że mogą czekać na nadejście głównych sił brytyjskich, lub też samodzielnie próbować przedostać się do Lüneburga, ok. 100 km na południe od Lubeki. Kuryłowicz, kpt. Witold Łokuciewski i dwóch innych jeńców Polaków zdecydowało się na tę drugą możliwość: ukradli z willi hitlerowskiego dygnitarza samochód osobowy i korzystając z paliwa ofiarowanego im przez wojskowe pojazdy alianckie, po dwóch dniach przybyli do celu.

Lew Kuryłowicz do Wielkiej Brytanii powrócił 9 maja 1945 r., po równo dziewięciu miesiącach pobytu w niewoli łącznie w czterech niemieckich obozach jenieckich. Drogę tę odbył na pokładzie Lancastera, wraz z 29 innymi byłymi jeńcami, lecąc z lotniska Luneburg do bazy RAF Cosford. Po załatwieniu formalnych spraw, takich jak zameldowanie się w Dowództwie Sił Powietrznych, uregulowanie kwestii finansowych (przez cały okres pobytu w niewoli gaża wpływała na jego konto) czy ubieganie się o zwrot prywatnych rzeczy, Kuryłowicz został przydzielony do Bazy Sił Powietrznych w Blackpool (przeniesionej wkrótce do Dunholme Lodge).

Zestrzelenie i rany odniesione blisko rok wcześniej we Włoszech nie dały o sobie zapomnieć i wymagały długiego i skomplikowanego leczenia, operacji i rehabilitacji. Przed rozwiązaniem Polskich Sił Powietrznych służył jeszcze w okupowanych Niemczech w bazach Ahlhorn oraz Quakenbrück. Udało mu się też w tym okresie szczęśliwie sprowadzić do Wielkiej

Brytanii żonę, a zatem dokonać tego, przez co sześć lat wcześniej trafił do sowieckiej niewoli.

Lew Kuryłowicz zdemobilizował się w polskim stopniu kapitana i brytyjskim Flight Lieutenanta (kapitana RAF). Był odznaczony najwyższymi polskimi i brytyjskimi odznaczeniami: Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari (nr 8413), dwukrotnie Krzyżem Walecznych, dwukrotnie Medalem Lotniczym, dwukrotnie Odznaką Honorową za Rany i Kontuzje, Polową Odznaką Pilota, Distinguished Flying Cross, oraz brytyjskimi medalami pamiątkowymi: 1939–1945 Star, Air Crew Europe Star, Italy Star, War Medal 1939–1945. Z racji uratowania życia zarówno na spadochronie, jak i na pontonie ratunkowym, został automatycznie członkiem Klubu Gąsieniczki (Caterpillar Club) oraz Klubu Złotej Rybki (Goldfish Club). Odznakami przynależności do nich były odpowiednio odznaka w formie złotej gąsieniczki z czerwonymi oczami oraz naszywka przedstawiająca uskrzydloną, złotą rybkę, unoszącą się nad falami.

Z chwilą rozwiązania Polskich Sił Powietrznych jego lotnicza kariera nie skończyła się, choć z munduru odpruć musiał polskie guziki, naszywkę „POLAND”, a „gapę” pilota zastąpić brytyjskimi „wingsami”. Wstąpił do Royal Air Force i służył jako kontroler ruchu lotniczego w stopniu Flight Lieutenanta aż do przejścia na emeryturę 30 listopada 1965 r. Od 6 lutego 1951 r. był poddany brytyjskim.

Kapitan Lew Kuryłowicz zginął tragicznie 31 grudnia 1977 r. w wieku 67 lat w Wallingford w hrabstwie Oxfordshire. Jego kolega z 318 Dywizjonu, por. Władysław Nycz, w swoich wspomnieniach napisał o tym:

Ten mocny człowiek, który wielokrotnie w czasie wojny, w walkach z nieprzyjacielem, tyle wykazał hartu i męstwa, nie wytrzymał ciosu, jakim była dla niego śmierć ukochanej żony Lidii. Załamał się. W trzy miesiące później, w Sylwestra, zastrzelił się na jej grobie. Znalaziono go nazajutrz, w Nowy Rok 1979 r.²⁵ ■

*Za pomoc w przygotowaniu artykułu autor serdecznie dziękuje
Panu Grzegorzowi Korczowi, Panu Wojtkowi Matusiakowi
i Panu Piotrowi Sikorze.*

25 Nycz W., W powietrznym zwiadzie, Wydawnictwo MON, Warszawa 1982; w rzeczywistości 1 stycznia 1978 r.